

informato**r**

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

ISSN 1505-8476



nr 236
grudzień 2008

W numerze:
**wywiadu udziela
prezes GKF
YOGA**



PRAWDZIWI TWÓRCA KOMIKSOWY

W zeszłym numerze zamieściłem swe refleksje po śmierci Michaela Crichtona. A ten wstępniak także ma charakter nekrologu. Niewiele później zmarł bowiem Janusz Christa.

Jeden z niezliczonych wilniuków dołączający swój talent i swoją pracę do powojennego dorobku Pomorza. Autor jednych z najpopularniejszych polskich komiksów. Nie lubił, gdy określano go mianem artysty. Zwykł się nazywać twórcą komiksowym (to on zresztą wyznaczył, dla własnego rozróżnienia, taki podział w tej branży: „scenarzysta” – autor komiksowych fabuł; „rysownik” – autor komiksowych plansz; „twórca” – taki autor komiksowy, który sam rysuje komiksy do własnych scenariuszy).

Młodsze pokolenie odbiorców zna go głównie z jego najpóźniejszego cyklu komiksowego (który zresztą przyniósł mu największą popularność) – opowieści o dwóch słowiańskich wojach: Kajku i Kokoszu. Jeden z albumów tego cyklu został przetłumaczony na dialekt śląski i na język kaszubski. Powstała gra komputerowa z tymi bohaterami. Od dłuższego czasu trwają prace nad filmem animowanym (z głosami Artura Barcisia i Cezarego Żaka – którzy notabene również doskonale pasowaliby do wersji aktorskiej!). Niektórzy krytycy zarzucają Kajkowi i Kokoszowi zbytnie podobieństwo do najsłynniejszego duetu europejskiego komiksu, czyli do Asteriksa i Obeliksa; zdają się tym samym nie pamiętać, że Kajko i Kokosz narodzili się przed laty jako dwaj marynarze – i nazywali się Kajtek i Koko.

Opowieści o Kajtku i Koku oraz profesorze Kosmosiku, w formie poziomych gazetowych pasków, drukowała przed laty trójmiejska popołudniówka „Wieczór Wybrzeża” – i moje (oraz nieco starsze od mojego) pokolenie od tych właśnie historyjek poznało twórczość Mistrza. Nie wiem zresztą, czy słowo „historyjki” pasuje do tych długich, rozbudowanych opowieści z dość powikłaną fabułą i licznymi wątkami sensacyjnymi lub fantastycznymi oraz z potężną dawką wyśmienitego humoru (tu z kolei można by na siłę dopatrywać się inspiracji klasycznym belgijskim Tintinem). Janusz Christa zresztą mówił w wywiadach, iż snuje te swoje opowieści na bieżąco, bez jakiegoś z góry rozpisanego scenariusza; jeśli nie była to z jego strony kokieteria – to dramaturgicznego talentu oraz dobrego smaku autorzy rozmaitych dzisiejszych tasiemców mogliby mu tylko pozazdrościć!

W pełni świadomie, jako uczeń podstawówki, czytałem na bieżąco dopiero jego fantastyczną epopeję „W Kosmosie”. Był to zresztą ostatni komiks o Kajtku i Koku. Następną opowieścią był pierwszy komiks z ich praprzodkami – Kajkiem i Kokoszem właśnie. Nosił on tytuł „Złote prosię”; w następnych edycjach publikowany już (cenzura!?) jako „Złoto Mirmiła” albo „Złoty puchar”. Co odróżnia zresztą słowiańskie opowieści z „Wieczoru Wybrzeża” od tych późniejszych, z barwnych albumów: nie ma w nich w ogóle czarów – ciotka-czarownica jest ukazana jako po prostu mądra kobieta, psychologicznie wykorzystująca panujące wokół ciemnotę i zabobon.

Dopiero później, głównie dzięki prywatnym zbiorom Marka Górnisiewicza, przeczytałem niektóre wcześniejsze komiksy Janusza Christy. Szczególnie rozbawiły mnie surrealistyczne, oparte głównie na nieustającej grze słów, „Opowieści Koka”.

Wydawnictwo Egmont Polska przypomniało sporo czarno-białych prac Mistrza – wydając kilka opasłych tomów (niektóre już doczekały się wznowień). Nie wszystko jednak udało się odnaleźć, odtworzyć, ocalić. W czasach największej weny twórczej Janusza Christy – komiks jako taki traktowany był jako coś gorszego, niegodnego, zaledwie tolerowanego... Właściwe docenienie i oficjalne uhonorowanie artysty przyszło, niestety, stanowczo zbyt późno.

Obok obu wspomnianych cykli Janusz Christa miał w swym dorobku również inne utwory (jak np. drukowane w magazynie „Relax” przewrotne parafrazy baśni) – ale o tym wszystkim można dokładniej poczytać chociażby na stronach internetowych poświęconych sztuce komiksu.

URODZINY

Lutowym Jubilatom:
więcej gazu!!!

życzy Redakcja



4 Jacek Nojkampf	21 Monika Ginter
6 Paweł Łęcki	24 Dariusz Szymański
7 Paweł Gałązka	25 Urszula Lisowska
15 Aleksander Deptuła	28 Lucyna Borycka
16 Lesław Olczak	Andrzej Prószyński
20 Marcin Witkowski	

1% dla GKF

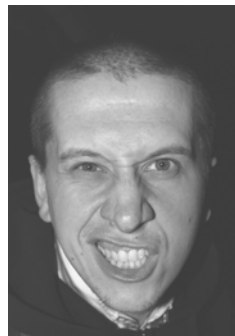
GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI – Organizacja Pożytku Publicznego
Nr KRS: 0000098018

Podstawowe zasady przekazywania 1% podatku za 2008 rok:

- podatnik wskazuje Organizację Pożytku Publicznego i kwotę 1% w zeznaniu podatkowym, nie ma możliwości samodzielnej wpłaty 1%;
- podatnik może przekazać odpis 1% tylko dla jednej organizacji;
- podatnik w składanym zeznaniu podatkowym może podać dodatkowe informacje, które w jego ocenie mogą mieć wpływ na rozdysponowanie pieniędzy z 1% przez OPP (np. wskazać na konkretny cel); informację tę może zamieścić w rubryce „Inne informacje, w tym ułatwiające kontakt z podatnikiem” (PIT-28 – poz. 135; PIT-36 – poz. 311; PIT-36L – poz. 107; PIT-37 – poz. 123; PIT-38 – poz. 59). Informacje te zostaną przesłane organizacji pożytku publicznego jako uszczegółowienie przekazanych kwot;
- organizacja nie będzie mogła się dowiedzieć, kto przekazał jej 1% – dowie się tylko, z którego urzędu pochodzi otrzymana kwota;
- wpłaty organizacji będą wpływać na konta organizacji w terminie trzech miesięcy od terminu składania zeznań podatkowych, czyli do końca kwietnia (odpisy otrzymane od tzw. ryczałtowców) i do końca lipca (odpisy od tzw. liniowców i rozliczających się według skali podatkowej).

ROZBUDZIĆ STARUSZKA

wywiad z Yogą – czyli Tomaszem Hogą
Prezesem Gdańskiego Klubu Fantastyki



JPP: Przede wszystkim gratulacje! Ale zanim przejdziemy do Twojej wizji Klubu – poproszę Cię, byś powiedział parę słów o sobie, tak ogólnie.

TH: Dziękuję serdecznie. A parę słów o mnie? No cóż, mam 29 lat, 192 cm wzrostu i niebieskie oczy. Nie byłem w wojsku, za to chodziłem do szkoły muzycznej. Jestem polonistą i pracuję jako redaktor w wydawnictwie edukacyjnym. Lubię ludzi, książki, muzykę i jedzenie. I nie przepadam za wypowiadaniem się na własny temat.

JPP: Czy przy okazji przypomnielibyś nam wszystkim swoją dotychczasową działalność w GKF-ie? I to od samego początku – czyli również jak trafiłeś do Klubu?

TH: Do klubu trafiłem jakoś na początku liceum. Z Łukaszem Zakrzywickim, Mariuszem Domżałskim i Wojtkiem Budą zaczęliśmy grać w gry fabularne. Oni zainteresowali się grami bitewnymi i zaczęli przychodzić do klubu. Czasem przychodziłem z nimi. Poza tym kiedyś poszedłem z nimi do Kwadratowej na wtorkową imprezę. A potem na kolejną i tak zacząłem regularnie spotykać inne osoby z Klubu (m.in. Kamilę, Mumina, Conana czy Kruka).

Kolejny etap zaczął się na początku studiów (chyba na drugim roku), kiedy to poszedłem na spotkanie w sprawie rozpoczynającego się LARP-a. Grę miał prowadzić Tytus „Belphegor” Mikołajczak, spotkanie odbyło się w kawiarni Art Deco w Sopocie. Nie znałem tam nikogo, zostałem obłany śmietanką do kawy i ogólnie byłem zestresowany. Ale wyszło bardzo dobrze. Po kilku spotkaniach założyliśmy Brethren. Potem było dużo grania (LARP wampirzy Belphegora, później wilkołaczy), czytanie, spotkania, wyjazdy. Zaczęły się Playwaki, zaczęły się Nordcony, jakaś Gildia, jakiś Krakon, praca przy imprezach – fantastyczne życie studenckie.

A potem polecałem za składki.

Wróciłem do Klubu (choć kontakt cały czas był dobry) jako wiceprezes Ordo. To był czas, kiedy zacząłem się pojawiać regularnie na Zarządzie. Z Ruferem, a potem z Ingielem, przez jakieś dwa lata organizowałem turnieje Konfrontacji, pracowałem przy Teleportach i Nordconach, zostałem szefem Działu Gier Strategicznych, prezesem Ordo/Mirror, wiceprezesem GKF-u.

Sytuacja zmieniła się po ostatnich walnych zebraniach Mirror i GKF. Co będzie dalej – zobaczymy, ale jestem dobrej myśli.

JPP: Więc teraz ab ovo – Kiedy zdecydowałeś się kandydować na funkcję prezesa? Co Cię zmotywowało? Co Ci się w ostatnich latach w Klubie podobało – a co nie? I, najważniejsze, jaka jest Twoja wizja zmian?

TH: Zdecydowałem się kandydować w pierwszej połowie listopada, powiedziałem to głośno na którymś środowowym spotkaniu w Daily Blues. Moja Kasia zapytana przeze mnie o to, czy chce być dziewczyną prezesa, powiedziała, że chce. Jak mogłem nie kandydować? A tak poważnie: zdałem sobie sprawę, że mam pomysły i chęć zrobienia czegoś dla Klubu; że mam wsparcie przyjaciół i okazję do wykorzystania. Okazję, która się nie powtórzy. Zdecydowałem, że jej nie przepuszczę.

Przez ostatnie lata martwił mnie to, że Klub zamarł, bo część aktywnych, widocznych ludzi z różnych powodów zniknęła. Z drugiej strony cieszę się, że część z nich „wraca do życia” i że pojawiły się nowe, pełne zapału osoby. Oczywiście nie do przecenienia jest praca, którą wykonują np. Papier, Boguś czy Janusz – długotrwałe i często nudne obowiązki, konieczne dla funkcjonowania Klubu. Naprawdę ich podziwiam.

Co do wizji zmian – ona jeszcze się kształtuje na poziomie szczegółów, głównie dlatego, że chcę dostosować swoje plany do oczekiwań Klubowiczów (a te właśnie badam). Nie miałoby przecież sensu staranie się o rzeczy, na których nikomu nie zależy.

Na poziomie ogólnym zależy mi natomiast na tym, aby naszego „zasuszonego staruszka” rozbudzić do stanu prężnie działającej i znanej organizacji. Widzę trzy podstawowe drogi dojścia do tego celu: zwiększenie liczby zaangażowanych w działalność Klubu, rozkręcenie działalności Klubu oraz odmłodzenie tegoż. W ramach konkretnych działań i osiągnięć chciałbym m.in.: pozyskać zewnętrzne źródła finansowania, nawiązać współpracę z innymi fantastami (i nie tylko) na naszym terenie, rozkręcić PR i kontakty z resztą kraju (np. przez obecność członków Klubu na imprezach), wypracować Klubowi pozycję ośrodka opiniotwórczego w ramach naszych szeroko rozumianych zainteresowań, zachęcać i przygotowywać młodych Klubowiczów do przejmowania „długodystansowych” obowiązków w Klubie.

Nie liczę na to, że wszystko się uda, ale postaram się zrobić, ile będę mógł. Zależy mi na tym, żeby było lepiej – w końcu GKF to dla mnie prawie pół życia.

JPP: Może teraz znów bardziej ogólnie – Twoje największe fantastyczne i pozafantastyczne fascynacje?

TH: Och, znowu pytanie tak wielkie, że brzegów nie widać... Zastanawiam się i wychodzi na to, że nie mam jakichś bardzo wyraźnych i jednoznacznych fascynacji ani w przypadku fantastyki, ani poza nią. Raczej staram się chwycać wiele rzeczy, przedkładam (zazwyczaj) różnorodność nad intensywność. Poza tym to pytanie pokrywa się częściowo z pierwszym, więc gdybym koniecznie miał wskazywać, to byłoby podobnie. Ludzie, muzyka, książki, jedzenie. No i gry fabularne. Nie, zacznijmy jeszcze raz, bo się wszystko pokręci...

Moje fascynacje? Życie. I wystarczy.

JPP: Co chciałbyś dodać od siebie członkom GKF-u i czytelnikom „Informatora”?

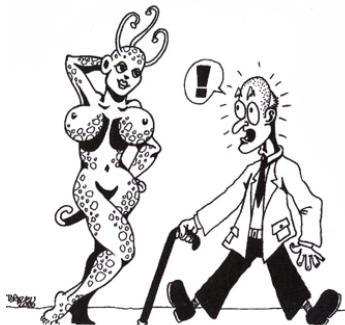
TH: Przecież do tej pory było ode mnie... Ale dobrze, potraktuję pytanie dosłownie.

Chciałbym od siebie dodać wszystkim trochę optymizmu, chęci działania i wiary w powodzenie naszych przedsięwzięć oraz jeszcze trochę więcej radości i spokoju.

Popatrz, wyszły mi z tego życzenia noworoczne... Zatem życzę Wam wszystkiego dobrego w Nowym Roku!

JPP: Dziękuję za te życzenia oraz całą rozmowę – i życzę powodzenia!

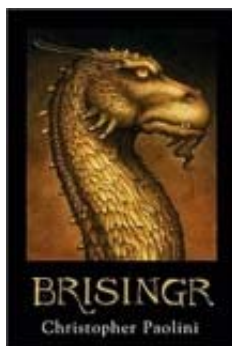
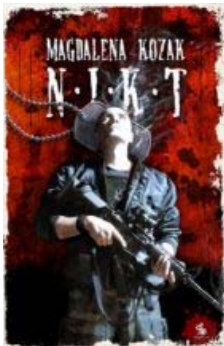
TH: Dziękuję.



NABYTKI BIBLIOTEKI GKF

grudzień 2008 r.

Brett Peter V.	Malowany człowiek
Briggs Patricia	Więzy krwi
Canavan Trudi	Wielki Mistrz
Child Lincoln	Głębia
Clarke Arthur C., Baxter Stephen	Odyseja czasu t. 2: Burza słoneczna
Crowley John	Samotnie
Dębski Rafał	Serce teściowej
Gallego Garcia Laura	Kroniki Idhunu t. 1: Buntownicy
Hearn Han	Sieć niebios
Korniew Paweł	Sopel cz. 1 i 2
Kozak Magdalena	N·I·K·T
Lloyd Tom	Herold Zmierzchu
Łukjanienko Sergiej	Czystopis
Małecki Jakub	Błędy
Martin George R.R.	Retrospektywa 3: Wędrowny rycerz
Meyer Stephenie	Intruz
Moore Christopher	Ssij, mała ssij
Moree Christopher	Wyspa wypacykowanej kapłanki miłości
Orbitowski Łukasz, Urbaniuk Jarosław	Pies i klecha: Tancerz
Paolini Christopher	Brisinger
Parus Magda	Wilcze dziedzictwo: Przeznaczona
Patykiewicz Piotr	Wąska ścieżka czrownicy
Peinkofer Michael	Orki: Powrót orków
Starobiniec Anna	Schron 7/7
Szmidt Robert j.	Toy Land
Twardoch Szczepan	Prawem wilka
Weber David	Honor Harrington: Za wszelką cenę cz. 1 i 2
Williams Tad	Rozgrywka Cienia
Ziemiański Andrzej	Breslau for ever



ZAPOWIEDZI WYDAWNICZE

Styczeń 2009

NAUKA ŚWIATA DYSKU III (THE SCIENCE OF DISCWORLD III: DARWIN'S WATCH) – TERRY PRATCHETT, IAN STEWART, JACK COHEN

Wydawca: Prószyński i S-ka

NOWE KRÓLESTWO (UN NUOVO REGNO) – LICIA TROISI

Wydawca: Videograf II

ODŹWIERNY (ПРИВПАТНИК) – MARINA DIACZENKO, SIERGIEJ DIACZENKO

Wydawca: Solaris

PŁYWAJĄCA WYSPA (THE FLOATING ISLAND) – ELIZABETH HAYDON

Wydawca: Rebis

ACCELERANDO (ACCELERANDO) – CHARLES STROSS

Wydawca: MAG

BAZYLISZEK (BASILISK) – GRAHAM MASTERTON

Wydawca: Rebis

DRUŻYNA PIERŚCIENIA (FELLOWSHIP OF THE RING) – JOHN R.R. TOLKIEN

Wydawca: Amber. Wznowienie

KANKAN NA WULKANIE – MAREK ORAMUS

Wydawca: Prószyński i S-ka

SZAŁ (THE FURY) – L.J. SMITH

Wydawca: Amber

CZARNOKSIĘŻNIK (THE WIZARD) – GENE WOLFE

Wydawca: Wydawca Dolnośląskie

BŁĘDNY KRĄG (VICIOUS CIRCLE) – MIKE CAREY

Wydawca: MAG

CIĘN W ŚRODKU LATA (SHADOW IN SUMMER) – DANIEL ABRAHAM

Wydawca: MAG

ADEPT MAGII (MAGICIAN) – RAYMOND E. FEIST

Wydawca: ISA. Wznowienie

GRÓB Z NIESPODZIANKĄ (GRAVE SURPRISE) – CHARLAINE HARRIS

Wydawca: Fabryka Słów

PRAWA I POWINNOŚCI (ПРАВА И ОБЯЗАННОСТИ) – KARINA PJANKOWA

Wydawca: Fabryka Słów

ZADRA t. 2 – KRZYSZTOF PISKORSKI

Wydawca: Runa

MROCNY ZBAWICIEL t. 2 – ŽAMBOCH MIROSLAV

Wydawca: Fabryka Słów

WOJENNE DZWONY – ANTOLOGIA

Wydawca: Fabryka Słów

CHORAĞIEW MICHAŁA ARCHANIOŁA – ADAM PRZECHRZTA

Wydawca: Fabryka Słów

CHARAKTERNIK – JACEK PIEKARA --

Wydawca: Fabryka Słów

ŚWIECA NA WIETRZE – T.H. WHITE

Wydawca: Solaris

UPIÓR POŁUDNIA – MAJA LIDIA KOSSAKOWSKA

Wydawca: Fabryka Słów

OKO JELENIA: PAN WILKÓW – ANDRZEJ PILIPIUK

Wydawca: Fabryka Słów

GŁOWĄ W MUR – RAFAŁ W.ORKAN

Wydawca: Fabryka Słów

CYBERIADA – STANISŁAW LEM

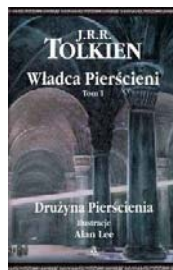
Wydawca: Agora

SKNOCONY KRYMINAŁ – STANISŁAW LEM

Wydawca: Agora

WYSOKI ZAMEK – STANISŁAW LEM

Wydawca: Agora



Na podstawie serwisów:
 Ensensa.pl, Katedra.nast.pl,
 Solarisnet.pl
 przygotował Janusz Piszczek

NIUSY

NASTĘPNE CARPENTEROWSKIE REMAKE'Y

Wytwórnia Universal prowadzi negocjacje w sprawie nabycia praw do realizacji nowej wersji filmu Johna Carpentera „Oni żyją”. W negocjacjach bierze udział firma Strike Entertainment (która przymierza się także do realizacji remake'u „Czegoś” – innego filmu Carpentera). Sam reżyser miałby być jednym z producentów wykonawczych filmu.

wg: www.gildia.pl



TRWA PODRÓŻ PRZEZ KINO – TERAZ M.IN. KINO „NOWEJ PRZYGODY”

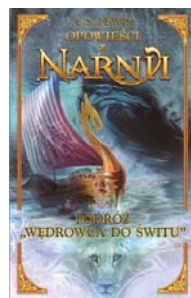
Na luty 2009 r. krakowskie Wydawnictwo Literackie zapowiedziało długo oczekiwaną premierę książki Adama Garbicia „Kino, wehikuł magiczny. Przewodnik osiągnięć filmu fabularnego. Podróż piąta 1974-1981”, będącej kolejną częścią najświetniejszego i najobszerniejszego przewodnika filmowego na polskim rynku. W tymie tym znajdują się m.in. teksty na temat filmów: „Piknik pod Wiszącą Skałą” Petera Weira i „Barry Lyndon” Stanleya Kubricka (1975), „Wniebowstąpienie” Larisy Szepitko i „Lokator” Romana Polańskiego (1976), „Jajo ręża” Ingmara Bergmana (1977), „Czas Apokalipsy” Francisa Forda Coppola, „Tess” Romana Polańskiego i „Stalker” Andrieja Tarkowskiego (1979), „Sobowtór” Akiry Kurosawy, „Wściekły byk” Martina Scorsese i „Lśnienie” Stanleya Kubicka (1980), a także „Rydwany ognia” Hugh'a Hudsona i „Przypadek” Krzysztofa Kieślowskiego (1981).

wg: www.gildia.pl

EKRANIZACJA TRZECIEGO TOMU „NARNII” – POD ZNAKIEM ZAPYTANIA

Wytwórnia Walta Disneya oraz korporacja Walden Media poinformowały, iż nie będą ze sobą współpracować przy produkcji trzeciego filmu z serii „Opowieści z Narnii. Podróż »Wędrowca do Świt«”.

wg: www.gildia.pl



BURTON I DEPP PO RAZ KOLEJNY

Jeśli wierzyć słowom hollywoodzkiego producenta Richarda D. Zanucka – to kolejnym wspólnym filmem Tima Burtona i Johnny'ego Deppa będzie gotycka opera mydlana „Dark Shadows”, oparta na popularnym w latach 60. serialu telewizyjnym. O przeniesieniu, liczącej ponad 1200 odcinków wampirzej sagi, mówiło się od dawna. Zanuck, współpracujący z Burtonem m.in. przy „Planecie małp” i „Sweeney Toddzie”, potwierdził plany reżysera i poinformował, iż John August („Charlie i fabryka czekolady”) pracuje właśnie nad scenariuszem filmu. Depp na ekranie wcieli się w głowę wampirzego rodu – Barnabassa Collinsa. Zdjęcia do „Dark Shadows” miałyby się rozpocząć latem 2009 roku w Londynie – zaraz po zakończeniu adaptacji „Alicji w Krainie Czarów”, w którą obecnie zaangażowani są Burton i Depp.

wg: www.gildia.pl

KOMIKS ZNÓW W KINIE

Przepytywany przez serwis IGN.com Frank Miller poinformował, iż prace na planie kontynuacji „Sin City” ruszą prawdopodobnie w kwietniu przyszłego roku. Scenariusz podobno jest już gotowy, a do dopięcia pozostały jedynie kwestie produkcyjne. Podczas realizacji Millerowi partnerować będzie, podobnie jak przy pierwszym filmie, reżyser Robert Rodriguez. Filmowy sequel ma być oparty o fabułę komiksowego albumu „Damulka warta grzechu”.

wg: www.gildia.pl

MUZYCZNA PODRÓŻ DO ODLEGŁEJ GALAKTYKI

Filmowa saga „Gwiezdne wojny” zostanie przerobiona na musical. Spektakl „Star Wars: A Musical Journey” to przede wszystkim wybór tematów muzycznych ze wszystkich sześciu filmów serii. Premiera już 10 kwietnia 2009 roku w londyńskiej arenie O2. W klimacie kosmicznej epopei widzów wprowadzać będą narratorzy. Zaś muzyce towarzyszyć będą pokazy pamiątek z filmów – kostiumów, rekwizytów, modeli kosmicznych stworów i pojazdów oraz fragmentów scenografii. Pierwsze skrzypce grać będzie 86-osobowa Royal Philharmonic Orchestra, która podczas każdego przedstawienia na żywo wykonywać będzie filmową muzykę. Bilety na premierę można kupić na stronie www.theo2.co.uk; za najtańsze zapłacić trzeba 30 funtów, najdroższe to wydatek rzędu 100 funtów.



wg: www.gildia.pl

POWRÓT „MROCNIEGO RYCERZA”

Chcąc maksymalnie wykorzystać zainteresowanie oscarową batalią – Warner Bros. zapowiedział ponowną emisję w kinach „Mrocznego Rycerza”. Batman i Joker pojawiają się na ekranach w dniu ogłoszenia nominacji do nagród Akademii (23 stycznia 2009 r.). Należy spodziewać się, iż z końcem stycznia wpływy z kinowej dystrybucji filmu Nolana przekroczą miliard dolarów: dziś na koncie „Mrocznego Rycerza” widnieje kwota 996 mln.

wg: www.gildia.pl

HISTORYCZNO-FILMOWE BIAŁE PŁAMY: PO WAJDZIE – BUGAJSKI

17 kwietnia 2009 roku na ekrany polskich kin wejdzie film Ryszarda Bugajskiego „Generał 'Nil'” – o generale Auguście Emilu Fieldorfie, bohaterze narodowym, który padł ofiarą mordu sądowego w powojennej Polsce. Generał został zamordowany w wieku 58 lat, jego ciała nigdy nie odnaleziono; nikt z winnych tej zbrodni nie został ukarany.

wg: www.gildia.pl



TCZEWSKIE SPOTKANIA KOMISOWE

7 grudnia, w Alternatywnym Centrum Kultury „Zebra”, odbyła się pierwsza impreza z tego cyklu. W programie: warsztaty komiksowe (Janusz Wyrzykowski), spotkania z zaproszonymi gośćmi i panele dyskusyjne (Jerzy Szyłak, Karol „KRL” Kalinowski), przegląd filmów, czytelnia komiksowa, wystawa „Szwajcaria – kraj komiksu”, stoisko Tczewskiego Klubu Fantastyki „Gryf”.

jpp

2008: NAJBARDZIEJ KASOWE FILMY ŚWIATA

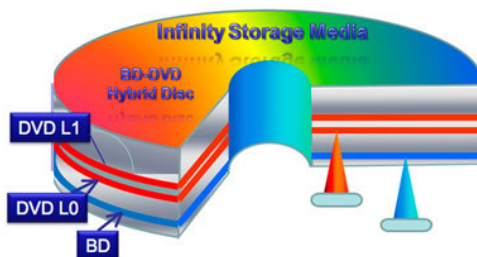
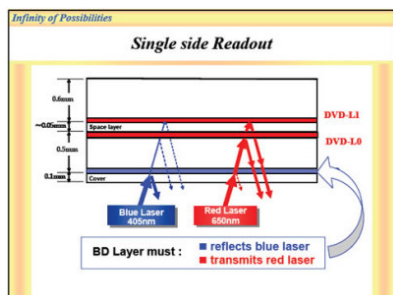
Są nimi kolejno – „Mroczny rycerz”, „Indiana Jones i Królestwo Kryształowej Czaszki”, „Kung Fu Panda”, „Hancock”, „Iron Man”, „Mamma Mia!”, „007 Quantum of Solace”, „WALL-E”, „Opowieści z Narni: Książę Kaspian”, „Seks w wielkim mieście”.

jpp

DVD I BLU-RAY W JEDNYM STALI DOMU

Japońska firma Pony/Canon zamierza wydać pierwszy film na hybrydowym dysku Blu-ray/DVD. Premiera przewidziana jest w Japonii w lutym 2008 roku. Ten ruch ma na celu przyspieszenie przejścia użytkowników z formatu DVD na Blu-ray. Dysk Hybrid Blu-ray/DVD jest połączeniem tradycyjnej płyty DVD z Blu-ray. Produkt opracowany został ponad dwa lata temu przez firmę JVC. Wierzchnia warstwa płyty jest kompatybilna z niebieskim laserem (Blu-ray) i pozwala na zapisanie 25 GB danych, natomiast poniżej leżą dwie warstwy w formacie DVD, mieszczące 8,5 GB. Powłoki Blu-ray i DVD oddzielone są od siebie półprzepuszczalnym filtrem, który odbija niebieskie światło, a przepuszcza czerwone.

wg: www.gildia.pl



POWRÓT NA ZAKAZANĄ PLANETĘ

James Cameron bardzo poważnie przymierza się do realizacji remake'u lub prequela najbardziej widowiskowego filmu SF dekady lat 50. minionego wieku.

jpp

NAJNOWSZY RANKING „SCIENCE”

Według tego periodyku za trzy najważniejsze przedsięwzięcia naukowe 2008 roku uznano: prace nad uzyskiwaniem komórek macierzystych z komórek pacjentów, bezpośrednie zaobserwowanie planety z innego układu gwiazdowego, badania nad genetycznymi przyczynami powstawania nowotworów.

jpp

NAJDALSA ZNANA WODA

Używając 100-metrowego radioteleskopu w Effelsbergu w Niemczech oraz VLA (Very Large Array) w Nowym Meksyku naukowcy odkryli najdalszą galaktykę, w której stwierdzono obecność cząsteczek wody. Znajduje się ona 11 mld lat świetlnych od Ziemi.

wg: www.gildia.pl

LEPIEJ PÓŹNO NIŻ WCALE

Telewizja zwana publiczną wyemitowała w okresie okołoświątecznym dwa zaniechane wcześniej epizody „Gwiezdných wojen”: „Imperium kontratakuje” i „Powrót Jedi”.

jpp

CHŁODNIEJSZE ORGANIZMÓW POCZĄTKI?

Genetycy ewolucyjni z Uniwersytetu w Montrealu wspólnie z badaczami z Lyonu i Montpellier opublikowali pracę wielce znaczącą dla rozwoju ziemskiego życia. Wyniki badań pokazały, iż ostatni wspólny przodek organizmów zamieszkujących obecnie zieloną planetę – LUCA (Last Universal Common Ancestor) – wbrew powszechnej opinii nie był organizmem hipertermofilnym. Według istniejących teorii organizm sprzed 3,8 mld lat uwielbiał wysokie temperatury (około 90-stopniowe) i w takim właśnie środowisku zamieszkiwał. Jak twierdzi jednak Nicolet Lartillot, jest to pogląd błędny – i nowe badania pokazują, iż LUCA będąc organizmem wrażliwym na temperaturę, wybierała miejsca chłodniejsze, o temperaturach nie przekraczających 50 stopni Celsjusza. Przeprowadzając badania naukowcy porównywali ze sobą informacje genetyczne obecnie żyjących gatunków ziemskich (zarówno roślin, jak i zwierząt) szukając wspólnych szlaków genetycznych oznaczających pokrewieństwo. Prace francuskich zespołów są bardzo ważnym krokiem w kierunku usystematyzowania teorii na temat praprzodka ziemskiego życia. Ogromnie znaczący jest fakt, iż badania te zgadzają się z hipotezami sugerującymi, iż życie na młodej Ziemi składało się z RNA (a nie z DNA). Dotychczas teoria ta napotykała poważne problemy – jako że cząsteczka RNA, w przeciwieństwie do DNA, jest bardzo wrażliwa na wysokie temperatury. Jak widać, nowe wyniki znacząco wspierają hipotezę dotyczącą RNA. Żyjący od początku w chłodnych środowiskach potomkowie LUCA mieli realną szansę przejścia do stabilnej termicznie molekuly DNA i – po zapożyczeniu jej od wirusów – uzyskali możliwość migracji do nowych środowisk.

wg: www.gildia.pl

„DZIECKO ROSEMARY” NIE NARODZI SIĘ PONOWNIE

Zapowiadany niedawno remake horroru Romana Polańskiego „Dziecko Rosemary” (będącego zresztą mistrzowską adaptacją powieści Iry Levina) – nie powstanie. Producentom nie udało się znaleźć scenarzysty, który miałby odwagę zmierzyć się z jednym z najbardziej utytułowanych filmów grozy w historii kina.

wg: www.gildia.pl

O MITOLOGII I DEMONOLOGII KASZUBSKIEJ

Regionalnym sumptem ukazało się opracowanie Aleksandra Labudy „Bògòwie i dèchë naj przodków”.

jpp

NOWY AS!

„Żmija” jest już napisana, zaś premierę będzie mieć w pierwszym kwartale 2009 roku. Akcja powieści rozgrywa się podczas wojny w Afganistanie, jej bohaterem jest rosyjski żołnierz. Choć brzmi to dość realistycznie – wielbiciele fantasy mogą spać spokojnie: Andrzej Sapkowski zapewnia, że utworze pojawi się bardzo dużo magii.

wg: „Newsweek”

SMUTNE WYDARZENIE ROKU

Śmierć Heatha Ledgera była, zdaniem amerykańskich dziennikarzy, największym wydarzeniem mijającego roku w świecie show-biznesu.

wg: www.wp.pl



FANTASTYKA Z PRZECENY

Jakiś czas temu, zaszedłszy do mocno schowanej poznańskiej księgarenki z książkami przecenionymi, upolowałam dwa bajecznie tanie przekłady współczesnej rosyjskiej fantastyki. Z jednej strony – zdobycz zaiste fantastyczna, z drugiej – szkoda, że ukryta akurat w takim miejscu...

Siergiej Siniakin „Władca mórz”

(Solaris 2005)

Zbiorek czterech nowel, w których historyczną (no prawie...) przeszłość, dzień dzisiejszy i wizję przyszłości łączy specyficzny, bardzo zaraźliwy humor i dobrotliwie satyryczny stosunek do przedstawionych postaci.

Początek „Czasu Apokalipsy” w pewnym sensie koresponduje z omawianą niżej książką Łukina – i tam, i tutaj w utartą egzystencję współczesnej rosyjskiej miłośnicy wdziera się nagle coś niewytłumaczalnego, a podejmowane próby wyjaśnienia fenomenu oscylują między nauką, ufologią a religią. To ostatnie wydaje się zresztą charakterystyczne dla dzisiejszej rosyjskiej fantastyki – najwidoczniej dla współczesnych Rosjan religia wciąż pozostaje czymś na tyle egzotycznym, że przywołanie jej w roli siły sprawczej niewyjaśnionych zjawisk jawi się jako chwyt świeży i oryginalny. U Siniakina pierwszym symptomem końca świata jest powstanie z grobów hitlerowskich żołnierzy, a początkiem finału – przekazana w niekonwencjonalny (jak na wyższe moce...) sposób informacja o zbliżającym się Sądzie Ostatecznym. Tyle że jakiś ten sąd dziwny: miast liczyć na wszechwiedzę Najwyższego, ludzie mają przedłożyć wykaz własnych (można również i cudzych) grzechów w „znormalizowanej pisemnej formie”. Na dodatek, obok obowiązkowych znaków w postaci wzejścia Gwiazdy Piołun i inwazji szarańczy, na niebie masowo szaleją wszelkiej maści UFO, tak więc do końca nie wiadomo, czy to Sąd Ostateczny, czy też podstępni Obcy wykorzystują ludzką bogobojność w celu zawładnięcia Ziemią...

„Władca mórz” – albo raczej, jak w oryginale – władczyni mórz, które to określenie może oznaczać zarówno „bohaterkę” utworu – łódź podwodną, jak i Rosję, która dzięki tej tajnej broni zyskuje przewagę na morzu. Zdolni rosyjscy rzemieślnicy konstruują oryginalny prezent dla cara Piotra I – drewnianą „podwodynkę”, napędzaną siłą mięśni. Dar ten, obsługiwany przez specjalnie wyszkoloną załogę, wspomaga cara w wojnie ze Szwedami. Nowelka konsekwentnie udaje stary tekst historyczny ze stosowną leksyką i składnią, ale równocześnie podkpiwa z konwencji, zmieniając tradycyjne pochwalne charakterystyki w satyrę. Opisy losów głównych bohaterów przeplatają się z pełniącymi rolę „tła historycznego” nieco przydługimi wywodami, mieszącymi prawdę z fikcją i mającymi niewiele wspólnego z rozwojem akcji. Szkoda, że z polskiego przekładu usunęto pseudo-postawie, mające formę podpisanej nazwiskiem fikcyjnego naukowca publikacji zawierającej drobiazgową analizę historii rzekomych rosyjskich osiągnięć w zakresie konstruowania łodzi podwodnych, poczynwszy od verne’owskiego „Nautilusa”, którego twórcą i kapitan był ponoć w rzeczywistości Rosjaninem nazwiskiem Nemow...

„Feniks” – nowela równocześnie nieco makabryczna i odrobinę romantyczna, zbudowana na kontraście potęgi bohatera i jego bezradności wobec siły, która nim rządzi. Mszcząc się za zamordowanie rodziny, Molibin w ciągu dziesięciu lat likwiduje ponad setkę handlarzy narkotyków (określanych w Rosji mianem „narkobaronów”), czyniąc narzędziem zemsty własne ciało, odradzające się dzięki wynalazkowi „replikatora”. Autor nie wchodzi w szczegóły techniczne procesu, skupiając się na przejmującej charakterystyce bohatera; każdemu powrotowi do świadomości w nowym ciele towarzyszy bowiem obsesyjny obraz martwych ciał bliskich, popychający do planowania kolejnego zabójstwa. Ciekawostką jest, że rola powiernika, uświadamiającego bohaterowi bezsens jego działań, przypadła oficerowi



śledzemu narodowości armeńskiej. Sporo miejsca w noweli zajmują pisane urzędowym żargonem teksty policyjnych meldunków operacyjnych, co i nie dziwota, jako że Autor – z wykształcenia prawnik – swego czasu kierował wydziałem zabójstw wołgogradzkiej milicji.

„Nudny wieczór na Marsie” – teraźniejszość w przeszłości. Ludzkość końca XXI wieku ukazana jako przebojowa rasa badaczy kosmosu, docierających do kolejnych planet i asteroid, szukających (i ponoć znajdujących) braci w rozumie, ale również jako wciąż ci sami znani nam ludzie, podzieleni na państwa, narody, ustroje społeczne, z tymi samymi uprzedzeniami, kompleksami i słabościami. Gdy burza piaskowa zmusza międzynarodową załogę marsjańskiej stacji badawczej do przerwy w pracy naukowej – panowie (co ciekawe: wbrew kosmicznej poprawności politycznej w tej ekipie w ogóle nie ma kobiet!) urządzają konkurs opowieści o tajemnicach. Kolejne wystąpienia i przeplatające je pogaduszki są okazją do uroczo szablonowej, humorystycznej charakterystyki przedstawicieli różnych narodowości. Nieoczekiwany finał pobrzmiwa równocześnie i śmiechem, i dumą z kolejnego kosmicznego kroku tej swojsko-przyszłej ludzkości.

Jewgienij Łukin „Strefa Sprawiedliwości”

(Solaris 2004)

Jest w pewnym rosyjskim mieście podwórko, ku któremu prowadzą cztery bramy. Trzy z nich są od dawna na głucho zamknięte, czwarta zaś... W czwartej dzieje się coś niepokojącego: przechodnie są nocą atakowani przez niewidzialnych przesaładowców. To, co początkowo jest traktowane jak zwykłe chuligaństwo, stopniowo obrasta teoriami, spekulacjami, wręcz mistyką. Rzecz w tym, że otrzymywane ciosy – to rewanż za analogiczne czyny popełnione w przeszłości. Ci, którzy bili, teraz są bici, do napastników wracają ciosy nożem i kule. Oto przemówiła Sprawiedliwość... Ta rozumiana najdosłowniej, jako „oko za oko, ząb za ząb”, a z czasem również życie za życie. Giną bandyci i mafiosi, ale także weterani wojen, bez różnicy – tej dawniejszej czy tych zupełnie niedawnych.

Bohatera, przeciętnego współczesnego rosyjskiego „inteligenta” w średnim wieku, ręka sprawiedliwości dosięga trzykrotnie. Najpierw on i jego rodzina zostają rozliczeni za drobne grzeszki (a że nie było tego wiele – Aleksiej zaczyna czuć się bezpiecznie). Niestety, krótko potem traci pracę, jego zwierzchnicy okazują się bowiem biznesmenami z szarej strefy i pozbawiony mafijnej ochrony „fundusz inwestycyjny” upada.

Mnożą się kolejne teorie tłumaczące powstanie Strefy Sprawiedliwości (bo tak nazwano feralną bramę), rośnie liczba religijnych nawróceń, przerażeni mieszkańcy masowo opuszczają miasto, a tymczasem Strefa rozrasta się, i to w trojaki sposób: w czasie, przestrzeni i – że tak powiem – asortymencie. Zaczyna bowiem dosięgać tych, którzy co prawda nikogo nie skrzywdzili fizycznie, ale swoim postępowaniem doprowadzili do cudzego nieszczęścia. Czyli praktycznie wszystkich, w tym Aleksieja i jego rodzinę. Exodus sięga szczytu. A co robią władze rosyjskie wobec masowego zagrożenia? To, co zawsze...

Tytułowa brama-Strefa to jedyny element fantastyczny powieściowego świata, poza tym książka stanowi po prostu pełną ciętego humoru i satyry, całkowicie realistyczną opowieść z życia współczesnej Rosji, prezentującą całą galerię typów ludzkich, które obowiązkowo spotkamy podróżując po tamtych okolicach. Jest w niej jakieś odległe pokrewieństwo z atmosferą bułyczowowskiego Wielkiego Guslaru – z jego kolekcją wyrazistych i cudownie rosyjskich postaci, pewnego dnia nagle wytraconych ze spokojnej egzystencji przez kontakt z Nieznanym...

Niestety lekturę psuły mi niejaki zgrzyty natury translatorskiej. Zasada zapisu imion pozostała dla mnie kompletną zagadką (czemu „Irusza” w miejsce oryginalnej „Iriszy”, dlaczego nieistniejąca „Emila” zamiast w miarę swojsko brzmiącej „Ludmiły”?). Współczesna leksyka powieści także zdaje się sprawiać tłumaczowi pewne trudności. Zawód bohatera naturalniej byłoby chyba określić jako „grafik komputerowy” (a nie „designer”, które to słowo Rosjanie zaadaptowali w specyficznym znaczeniu), nie każdego patoszka należy rozumieć dosłownie, a już na pewno powinien dać do myślenia fakt zdeponowania w banku pięciu cytryn...



PÓŁKA Z DVD



KIEPSKI SUPERMAN

Wyobrażacie sobie Supermana w wykonaniu Ferdynanda Kiepskiego i w amerykańskiej produkcji? No, to macie początek „Hancocka”. Tytułowy bohater (grany brawurowo przez Willa Smitha) pije z gwinta i ratuje świat wywołując zniszczenia porównywalne niekiedy do przejścia Godzilli (gdybym miał sporządzić ranking, to na pierwszym miejscu postawiłbym rzut wielorybem do morza – a właściwie w jacht). Nic dziwnego, że wszyscy mają serdecznie dosyć Hancocka, wyzywając go przy każdej okazji od dupków (polski producent dodałby tu jeszcze: ty jolopie!). Na szczęście na drodze superbohatera staje specjalista od wizerunku, Ray Embrey (Jason Bateman), który powoli acz skutecznie resocjalizuje Hancocka, a także żona Raya, Mary (Charlize Theron), której rolę (istotną dla akcji) przemilczę, wzorem autorów innych streszczeń. W rezultacie Hancock przestaje obrażać ludzi, woła na prawo i lewo: good job, good job!, aczkolwiek jego destrukcyjny potencjał nadal ma się bardzo dobrze.

Istotą filmu jest kontestacja tradycyjnego wizerunku superbohatera, ikony amerykańskiej popkultury. Jest to miłe sercu Europejczyka; a jeszcze miłsze jest to, że potrafią to zrobić sami Amerykanie (Nie będzie Francuz pluł nam w brodę – sami to sobie zrobimy, jak można było usłyszeć w PRL-owskim kabarecie). Może zresztą czynią to nie całkiem świadomie, o czym świadczą określenie postmodernistyczny superman. Kiedy Ray pokazuje Hancockowi komiksy, ten komentuje pogardliwie: homo, homo in red, norwegian homo, broni się też jak może przed przymierzaniem jakiegoś twarzowego, supermańskiego wdzianka.

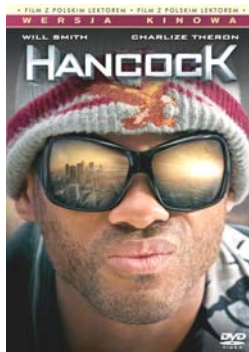
Co istotne, Hancock nie jest bynajmniej pierwszą próbą zastosowania krzywego zwierciadła w supermanii. Już w 1999 r. nakręcono film Super-bohaterowie (Mystery Men), w którym przedstawiono alternatywną Amerykę pełną superherosów o różnym stopniu zaawansowania. Bycie supermanem jest tam po prostu jednym z talentów, którym jedni obdarzeni są bardziej, a drudzy mniej. Ktoś dla przykładu po mistrzowsku włada łopata, a ktoś inny może stawać się niewidzialnym, ale tylko wtedy, gdy nikt na niego nie patrzy (co ciekawe, jest to pożyteczny talent, bo można przy jego pomocy oszukać kamerę monitorującą). Grupa tego typu kiepskich superbohaterów okazuje się w filmie bardziej skuteczna od etatowego miejskiego superherosa, którego aktywność koncentruje się głównie na podtrzymaniu własnego podupadającego wizerunku. W tym filmie humor jest ciepły i dobronuduszny, w opozycji do szarżującej bufonady „Hancocka”.

Innym filmem tego typu jest „Pająk” („Earth vs. the Spider”), nakręcony w serii „Creature Features”. Dwudziestoletni Quentin, miłośnik komiksów i ochroniarz laboratorium, wstrzykuje sobie materiał genetyczny pająka, mając nadzieję stać się drugim Spidermanem. Tak się dzieje, choć w dość przewrotny sposób, gdyż Quentin przejmuje najgorsze cechy swojego dawcy, stając się krwiozerczym potworem. Trudno oprzeć się wrażeniu, że ten Spiderman jest bardziej autentyczny od oryginalnego – i o to pewnie chodziło twórcom filmu, który jak na parodię jest wyjątkowo ponury.

Przejdźmy wreszcie do przebojowej, zwariowanej komedii o zbiorowym superbohaterze, jakim we własnym mniemaniu są USA. Chodzi o film twórców serialu „South Park” pod tytułem „Ekipa Ameryka – policjanci z jajami” („Team America – World Police”, 2004). Ten kukiełkowy (!) film bezlitośnie wyśmiewa osławioną wojnę z terroryzmem i udział w niej policjanta świata, Stanów Zjednoczonych. Kiedy podczas

akcji w Paryżu Ekipa niszczy wieżę Eiffla i Luwr, na zakończenie padają następujące słowa: „Bonjour wszystkim. Proszę się nie martwić. Wszystko jest bon. Powstrzymaliśmy terrorystów”. Nie da się ukryć, że „Hancock” nie jest równie efektowny, co można zinterpretować w ten sposób, że kolejny raz z rzędu rzeczywistość przegoniła fantazję.

Andrzej Prószyński



HANCOCK (2008)

Tytuł oryginalny: HANCOCK

Reżyseria: Peter Berg

Obsada: Will Smith, Jason Bateman, Charlize Theron

Data premiery DVD: 2008-11-06

Czas trwania: 92 min.

SUPER-BOHATEROWIE (1999)

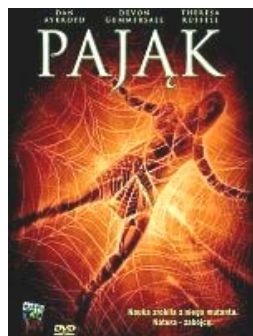
Tytuł oryginalny: MYSTERY MEN

Reżyseria: Kinka Usher

Scenariusz: Neil Cuthbert

Obsada: William H. Macy, Ben Stiller, Lena Olin

Czas trwania: 121 min.



PAJĄK (2001)

Tytuł oryginalny: EARTH VS. THE SPIDER

Reżyseria: Scott Ziehl

Obsada: Dan Aykroyd, Amelia Heinle, Theresa Russel

Czas trwania: 86 min.

EKIPA AMERYKA – POLICJANCI Z JAJAMI (2004)

Tytuł oryginalny: TEAM AMERICA – WORLD POLICE

Reżyseria: Trey Parker

Scenariusz: Trey Parker, Matt Stone

Czas trwania: 94 min.



Impresje filmowe (3)

Grudzień nie sprzyjał oglądaniu filmów: najpierw Nordcon, a następnie sezon na wnioski o dotacje, święta i sylwester absorbowwały mnie tak bardzo, że niewiele już zostawało czasu na rozrywkę. Tym niemniej i tym razem udało mi się zaliczyć kilka seansów, niekoniecznie fantastycznych.

Mamma mia! to przykład, jak zrobić musical bez fabuły i z aktorami, którzy nie potrafią śpiewać. Pretekstowy scenariusz rozpoczyna się od sceny, w której trzy chichoczące nastolatki witają się manierycznie po długim niewidzeniu; a potem jest to samo, tylko bardziej. Właściwie powinienem przedstawić choćby zarys tego, co dzieje się dalej, ale nie zrobię tego, bo jest to zupełnie nieistotne. Dość powiedzieć, że chodzi o *hi hi hi* na przemian z *la la la*. Pomiedzy jednym a drugim płaczą się jeszcze jakieś pretekstowe postaci oraz piękny krajobraz greckich wysp Skopelos i Skiathos. Wyspy, owszem, wydają się warte obejrzenia. Jest to film bardzo kobiecy, w którym rolę mężczyzny jest statystowanie w babskim, rozchichotanym wieczorze. Oprócz tego jest to film bardzo manieryczny, pełen przerysowanych ochów i achów. Dla koneserów (koneserek?) niewyszukanych gagów i Pierce'a Brosnana walczącego o to, by wydusić z siebie cienkim głosem parę taktów bez fałszowania. Meryl Streep przynajmniej się stara, a cała reszta nadrabia chichotem. Zenujący, slapstickowy dowcip w połączeniu z płaskimi postaciami i scenariuszem, w którym nawet nie udaje się, że o chodzi o cokolwiek poza kasą dla producentów, składają się na film, który w każdej minucie obraża inteligencję widza. Jeśli o mnie chodzi: nigdy więcej.

Piorun (Bolt) to jeden z najsympatyczniejszych filmów animowanych, jakie obejrzałem w ciągu ostatnich paru lat. Historia jest prosta, ale oparta na ciekawym pomycie: pies występujący w widowiskowym serialu telewizyjnym bierze go na poważnie i wydaje mu się, że naprawdę jest superbohaterem dysponującym supermocami, ratującym co rusz z opresji swoją właścicielkę. W zderzeniu z rzeczywistością w postaci przypadkowego wywiezienia na drugi koniec Stanów Zjednoczonych nasz pies musi zrozumieć, czym różni się fikcja od rzeczywistości, stanąć twardo na łapach i poznać znaczenie przyjaźni. Historia nie jest na szczęście niepotrzebnie rozciągnięta, a film jest dość krótki – akurat w sam raz. Najmocniejszą stroną „Pioruna” są postaci: pies-megaloman, kot-cynik, a do tego największy bajer: chomik-telemaniak, histeryczny fan Pioruna i jego supermocy. Do tego jest tu i morał, ale pozbawiony nachalnego dydaktyzmu. W połączeniu z wpadającym w ucho motywem muzycznym otrzymujemy świetny film dla dzieci, który jednak każdy może obejrzeć z równą przyjemnością.

Nauzyka z Doliny Wiatru, którą odświeżyłem sobie po kilku latach przerwy, nie jest najbardziej emocjonującą animacją Hayao Miyazakiego, ale jedną z bardziej nastrojowych. Dużo w niej wyciszonych (kraj)obrazów, dzięki którym dorobiła się miana „filmu ekologicznego”. Głównym bohaterem jest tu toksyczna dżungla, pełna gigantycznych owadów i innych potworów, jaka pokryła ziemię zniszczoną przez przemysł. Żyjący w nielicznych oazach ludzie walczą o przetrwanie w nieprzyjaznym świecie, zastanawiając się, jak pozbyć się zagrażenia. Jedną z nielicznych osób wierzących, że dżungla jest potrzebna, by walczyć z zanieczyszczeniami, jest Nauzyka, księżniczka w jednej z takich osad. (Nawiasem mówiąc, autor czepia się dumnych tytułów królewskich z uporem godnym lepszej sprawy; gdyby Nauzyka była córką softysa albo innego naczelnika, niczego by to nie ujęło historii). Problem w tym, że pozostali, w tym zwłaszcza wysłannicy wojowniczego państewka tolmeckiego, które raczy akurat napaść na Dolinę Wiatru, by odzyskać ładunek rozbitego tam samolotu transportowego, uważają, iż dżunglę należy raczej niszczyć wszelkimi dostępnymi środkami. Konflikt tych dwóch stanowisk doprowadzi jak zwykle do licznych perypetii i zniszczeń, w których najbardziej ucierpi przyroda. Nie jest to może genialna historia, ale za to wyposażona w jedno z najbardziej uzasadnionych fabularnie zakończeń spośród wszystkich filmów Miyazakiego (nie licząc może *Spirited away*). Pozycja do obejrzenia.



NOWEGO BONDA CZĘŚĆ DRUGA

Tytuł: Quantum of Solace

Produkcja: UK/USA, 2008

Gatunek: Bond

Dyrekcja: Marc Forster

Za udział wzięli: David Craig, Iaska z „Hetmana”, Judi Dench, Gemma Atertron, Mathieu Almaric

O co chodzi: Bond mści się za Vesper zwalczając eko-terrorystę

Jakie to jest: Tak się składa, że w recenzji czasem lubię porównywać opisywany film do innego. Normalnie można uznać, że jest to objaw słabości umysłowej recenzenta – u mnie natomiast jest to objaw geniuszu polegającego na rzetelnym recenzowaniu przez analogię. No, i w końcu ciężko nie porównywać „Quantum of Solace”, drugiego neo-Bonda, z jego czcigodnym prekursorem, czyli „Casino Royale”.

Pierwsze zatem wrażenie po obejrzeniu „Quantuma”: „Casino Royale” postawił poprzeczkę bardzo wysoko. Ciężko będzie kolejnym odcinkom ją przeskoczyć – i temu się na przykład nie udało. Od razu mówię: QoS nie jest złym, ani nawet średnim filmem. Jest filmem bardzo dobrym i, gdyby nie było „Casino Royale”, zapewne padłbym przed nim na kolana. No, ale niestety nie dorównuje części poprzedniej.



Greene i jego kolega Piast Kołodziej

Trzeciowio obraz jest całkiem interesujący: stanowi połączenie stylu Nowego Bonda z fabułą ze starych dobrych czasów – zły biznesmen udający filantropa zamierza opanować świat, a 007 lawiruje między laseczkami, aby go pokonać. Przyznam jednak szczerze, że taki miks stylu i fabuły niespecjalnie do mnie przemówił. Rozumiem, że postać Bonda ewoluuje i z filmu na film będzie on zapewne coraz bardziej przypominał swój klasyczny pierwowzór, ale zejście z awangardy CR na tak oklepany poziom nie zrobiło dobrze filmowi. Oczywiście scenarzyści mocno się postarali, żeby nie był to całkiem klasyczny „Bond” – 007 jest tu nadal postacią bardzo tragiczną, wokół której jak muchy padają wrogowie i przyjaciele. Nie należy też zapominać, że motywacją Bonda jest przede wszystkim zemsta za śmierć Vesper, stąd demontaż wrażliwej organizacji jest jego osobistą ambicją – zwłaszcza że wnet się okazuje, iż znany już szantaż złych wobec Vesperowej też miał drugie dno...

Bo idee chyba wszyscy znają: pierwszy raz w historii bondologii kolejny film jest bezpośrednią kontynuacją poprzedniego. Za to poraz n-ty pojawia się tu motyw działania Bonda na własną rękę – coś, co było novum w „Licence to Kill”, teraz jest na porządku dziennym. Film wyrabia natomiast dobrze normę egzotycznych podróży Bonda (Haiti, Boliwia) i luksusów (Opera w Bregencji, Aston Martin, bankiety i przyjęcia, hotel dla bogatych nauczycieli w La Paz).

W toku swoich przygód James spotyka agentkę Fields (karygodnie zmarnowana i ubrana Gemma Atertron) oraz boliwijską Rosjanę Camille (Olga Kurylenko), w której odnajduje bratnią duszę. Oboje bowiem zamiarują dokonać zemsty – i dla obydwójga z nich drogą do niej jest aktualny główny zły, Dominic Greene (ten, co udaje filantropa). Obsadzony w tej roli Mathieu Almaric pasuje idealnie – mimo że nie ma żadnych znaków szczególnych na ryju, z rysów tegoż ryja mega mu mrocznie patrzy. Jest on też kolejnym

dowodem na to, że wybitni aktorzy w „Bondach” się sprawdzają (Almaric jest wybitny, bo zagrał sparaliżowanego koleś w „Motylu i skafandrze!”). Greene to toksycznie czarujący przebiegły gnój, który potrafi i zagrać na uczuciach Bonda, i zaryzykować własne życie, aby osiągnąć cele swych mocodawców. Tym niemniej, o ile postać Dominica jest ładnie poprowadzona, o tyle Camille jest całkiem generyczną Bond-lasią z problemami, której analogia do naszego bohatera i próby nawiązania więzi są po prostu słabe.

Zła organizacja o nazwie Quantum to paradoksalnie jeden z największych atutów filmu. Pomimo dość sztampowego charakteru (panu-jemy nad światem, mamy ludzi wszędzie itp.) – stanowi ona chyba największe w dziejach zagrożenie dla bondowskiego universum, przy którym SPECTRE może się głęboko schować. Macki Quantum faktycznie sięgają wszędzie: nie jest bezpieczny ani Bond, ani M, ani CIA, ani nikt inny w filmie. Ta właśnie atmosfera zagrożenia i zdrady, w której źli przejęli inicjatywę, a dobrzy mogą tylko odpowiadać na ciosy, jest do tej pory w Bondach niespotykana – a sprawdza się nad wyraz dobrze. Tutaj Bond nie ma czasu na relaksy, jachty, dupeczki; gnany poczuciem obowiązku wobec wolnego świata, napędzany żądzą odwetu, dwoi się i troi, by złym pokazać, gdzie raki zimują.

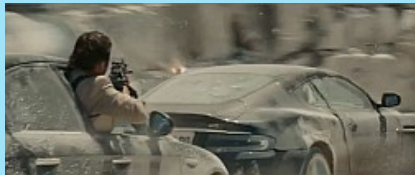
Sama postać Bonda jest równie genialna, jak w „Kasynie” – pozostaje on zimnym profesjonalistą, tym razem już nie skażonym jakimiś poważnymi romansami. Podobnie brutalny, sprawnie mordujący wręcz i wpał. Jednocześnie (jak to Bond) wyluzowany i nie tracący przytomności umysłu w żadnej sytuacji, nawet w nieoczekiwanych okolicznościach starający się być krok przed wrogiem. Nasz nowy 007 nadal jeszcze nie odzyskał całej swojej osoby – nie pija martini, choć już popisuje się celnymi tekścikami. Film w ciekawy sposób wałkuje motyw lojalności 007 – wobec Vesper, nowych lasek, a przede wszystkim M i Mathisa. Fajnie tu widać, że obojętnie jakich morderczych i egoistycznych fikołków Bond by nie robił, wszystkie jego działania kręcą się właśnie wokół tych osób. Nadal w bardzo ciekawy sposób mamy rozwinięty układ 007-M, która z jednej strony miesza naszego agenta z błotem, a z drugiej darzy go nieograniczonym zaufaniem (z wzajemnością). Osaczeni przez Quantum oboje stanowią bardzo fajny team, jako że nikogo innego nie można być pewnym.

QoS jest też kolejnym obrazem, gdzie wyeksponowany jest motyw „zabójczości” Bonda. Wizerunek ten fajnie wyewoluował od strzelającego bezrefleksyjnie do kogo popadnie Seana Connery’ego („Kills anyone he pleases, anywhere he pleases, anytime he pleases”), przez „I never miss” Brosnana – aż po Craiga, który zabija bez problemu, ale właściwie tylko z konieczności (tyle że po prostu los narzuca mu tych konieczności sporo).

Teraz o akcji – QoS to po prostu katalog klasycznych bondowskich stuntów: pościgi zmotoryzowane, nawodne, lotnicze, piesze, po mieście, strzelaniny w różnych okolicznościach, jak również wybuchy. Wszystko nakręcone i zmontowane ultradynamicznie, podkreślone dobrym dźwiękiem albo muzycznym beatem – znowu potrafi wałnąć w łeb. Mam tylko pretensje o strasznie ciasne kadry podczas tychże pościgów – o ile przy samochodowym na początku filmu sprawdziło się to rewelacyjnie, o tyle na motorówkach już nie było tak fajnie; odnosiło się wrażenie, że akcja jest filmowana w studiu, a szerokich planów całej akcji było bardzo niewiele. Oprócz klasycznych stuntów dostajemy nieco tych z nowszej półki – kręconych zza ramienia Bonda skoków po dachach i oknach, jazd motorem po motorówkach, bijatyk w ciasnych pomieszczeniach; tu kompletnie nie ma się czego czepiać, wypas w ciul i tyle.



Bond pociesza koleżankę



Trzeba będzie nawoskować

Podobnie jak CR – film ma fajną, szybką narrację, wymagającą czasem od widza orientu. Dzięki temu nawet w spokojnych scenach intryguje i trzyma nas za głowę. Niestety, pod koniec filmu akcja nieco siada (punktem zwrotnym jest tu debilna wycieczka z buta Bonda i Camille przez pustynię – acz to chyba czepialstwo, większe kretynizmy już były w serii) i od tej pory już toczy się utartymi od czterdziestu lat schematami. Na obronę powiem jednak, że scena w operze w Bregencji to istna bondowska doskonałość – zarówno dramaturgicznie, jak i epicznie. Tutaj Bond nie waha się pogrywać z silniejszym przeciwnikiem i wzywa go do otwartej konfrontacji – zarówno umysłowej, jak i balistycznej. A następująca tu strzelanina to po prostu kwintesencja poetyki neo-bondowskiej i zasługuje na leżenie krzyżem. Dla samej tej sceny warto obejrzeć „Quantum of Solace”. Trzeba przyznać, że Marc Forster – mający już na swoim koncie „Monster’s Ball” czy „The Kite Runner” – potrafił ładnie rozegrać nie tylko (niektóre) wątki postaciowe, ale też wysmażyć w tej scenie arcydzieło kina akcji.



Zamiast trzymać się rzeczki
robili piesze wycieczki

piosenki tytułowej nie będę się pozytywnie wypowiadał. Niestety, ani piosenka, ani sama zołwówka nie umywają się do tych z „Casino”.

„Quantum of Solace” to święty „Bond”, jeden z najlepszych w serii. Jednak – paradoksalnie – jego słabości stają się szczególnie widoczne po przepuszczeniu przez sito zarówno „Bonda” rytu nowego, jak i starego. Na pewno ma wszystko na swoim miejscu – i rodzi się pytanie, czy właśnie dlatego nie wypada gorzej? Może starając się zawrzeć maksymalnie wiele dyżurnych elementów serii, uzyskano po prostu film na pierwszy rzut oka zbyt typowy, którego podszycie vendettą Bonda niestety nie wystarczyło? No i samo otwarte zakończenie, które – obawiam się – oznacza, że każdy kolejny odcinek, niczym „Losty”, będzie mnożył zagadki, zamiast je wyjaśniać. Ale może przynajmniej w kolejnym odcinku wystąpi już Q?

Ocena (1-5):

007: 5

Treść: 5

Nowatorstwo: 2

Fajność: 4 (w porównaniu z CR, standalone: 5)

Cytat: I really think you people should meet in a better place.

Ciekawostka przyrodnicza: Petersburski oddział rosyjskiej partii komunistycznej nie wziął sobie do serca filmowej kariery Ukrainki Olgi Kurylenko. Oskarżyli ją o zdradę, gdyż zagrała lasię Bonda, „seryjnego mordercy ludzi radzieckich, Wietnamczyków i Koreańczyków”. W liście do laski goście zapowiadają, że może ją spotkać los „utrzymanek hitlerowskich” z czasów wojny.



Scenarzyści sporo grają w gierki

Commander John J. Adams
(www.zakazanaplaneta.pl)

[tytuł od redakcji INFO]

komentarz naczelnego INFO: Dobrze pamiętać czasy, gdy dla polskich kinomanów oficjalnie zakazany był nie tylko „Bond”, ale też „Szpiedzy jak my”, „Rambo”, „Łowca jeleni” czy nawet „Jesus Christ Superstar” – więc ta „ciekawostka przyrodnicza” zabrzmiiała mi dziwnie znajomo; tyle że wtedy nie było nam do śmiechu... /jpp/

MUZYKA – FANTASTYKA – FANTAZJA

PIERŚCIEŃ NIBELUNGA (1)

KŁĄTWA ALBERYKA



Dawno, dawno temu, kiedy bogowie mieli jeszcze wpływ na losy ludzi, a ludzie spełniali ważną rolę w boskich planach świata, dzieje się „Pierścień Nibelunga”.

Na początku była woda. Według Wagnera woda to stan pierwotny, z którego wszystko bierze początek. „Zapadłem w coś na kształt stanu somnambulicznego, w którym nagle poczułem, że pogrążam się w silnym nurcie wody. Jej szum przedstawił mi się wkrótce w dźwięku akordu Es-dur, który kołysał się nieprzerwanie na falach figuracji”. A Tomasz Mann, pisząc o dziele Wagnera, dodawał od siebie: „Początek wszelkich rzeczy ma swoją muzykę: muzyka początku jest także początkiem muzyki, trójdźwięk Es-dur porywistej głębi Renu, siedem prymitywnych akordów, z których, niczym z cyklopowych bloków wyrąbanych w pradawnej skale, wznosi się twierdza bogów”*.

Ów sen z poobiedniej drzemki Wagner wkrótce zapisał w partyturze, dodając jeszcze partię tuby i rogu. Brzmienie rogu w muzyce symbolizuje siły natury. Czy może być coś bardziej wzniosłego i niepokojącego zarazem nad tuby i rogi w roli głównej? Wyobraźcie sobie całą tę orkiestrową „blachę” jak z taktu na takt coraz klarowniej i głośniej odrąbuje Prolog „Złota Renu” – mistyczne narodziny dnia, lecz może być i tak, że to świat powstaje z nocy i mgieł.

Mrok sceny rozjaśnia nikły strumień światła. W półmroku widać jakąś postać: to Wotan, władca bogów i ludzi, odłamując konar okalecza święty jesion świata. Tak powstał oszczep, odpowiednik pioruna Zeusa i trójzębu Posejдона. Oto początek końca.



Światło lasera, dym i mgła. Uroczysta, inicjacyjna wręcz muzyka powoli, crescendo, wypływa z ciemności i ciszy. Główny temat dostojnie płynie nad sceną; poruszająca, nastrojowa muzyka prowadzi słuchacza w krajobraz posępny i mroczny, gdzie słońce nigdy nie świeci. Stopniowo w ten pejzaż włączają się smyczki, rozjaśniając horyzont. Rodzi się światło. I wtedy nastrój się zmienia, ożywia. To w nurtach Renu wesoło baraszkują trzy siostry, Córy Renu, strażniczki złota ukrytego na dnie. Tajemna moc jest w nim ukryta. Ten, kto miłości się wyrzeknie i przy pomocy runicznych zaklęć pierścień zeń wykuje, panem świata zostanie. Lecz zła to będzie władza i okrutna moc; bez miłości, bez litości, w chaosie i upadku świat pogrąży. Dlatego Córy muszą go strzec. Zło jednak musi się narodzić, by świat trwał w równowadze. Szkaradny Nibelung, karzeł Alberyk, zjawia się nad rzeką. Panny drwią sobie z niego, kusząc obietnicami miłosnych igraszek. Poniżony i wyśmiany dostrzega złoty odbłask igrający wśród fal. Co to? Panny nierozważnie zdradzają tajemnicę. Złoto! Pierścień! Władza! Moc! I zanim się spostrzegą – złoto jest już w rękach Alberyka. Nie chcieliście mnie kochać, zakpieliście z mej żądzy nieugaszonej, teraz ja kpię sobie z was. Przeklinam was i miłość waszą na wieki!

I tyle go widziały.

Ryszarda Wagnera skrzywdziła historia. Miał pecha, że jego muzyką i stworzoną przezeń formą dramatu muzycznego, zakorzenionego w starogermańskich mitach, zachwycił się kiedyś Hitler, wprzegając je w tryby nazistowskiej propagandy. Apoteoza germańskiego typu bohatera, jakim jest Zygfryd, centralna postać średniowiecznego eposu o Nibelungach, heros z półboskim rodowodem, tudzież mistyka i patos XIX-wiecznej partytury – świetnie

nadawały się na propagandową tubę idei nadczłowieka, na całe lata łącząc w jedno pojęcie ideę muzyka-myśliciela z ideą dyktatora-fanatyka.

Tymczasem dzieła Czarodzieja z Bayreuth, jak często nazywa się Wagnera, głównie zaś tetralogii „Pierścień Nibelunga”, nie powinno się łączyć z żadną ideologią, choć wciąż nie brakuje takich, co przypisują mu różne: nacjonalistyczne czy antysemickie treści, pomimo że ponura historia pierścienia władzy wykutego ze złota Renu to jedynie realizacja porywających nie tylko w tamtych czasach przemyśleń i wizji scenicznych kompozytora. Marzył on bowiem o stworzeniu nowej jakości artystycznej, jaką stał się dramat muzyczny opiewający czyny legendarnych bohaterów, opowieści o bogach i ludziach, zakrojone na niespotykaną dotąd skalę połączenie filozofii, muzyki i mitu. I, aby swe śmiałe pomysły wcielić w życie, musiał zbudować własny teatr, wyłącznie dla siebie, nazywany przezeń Świątynią Sztuki, w samej rzeczy zaś monumentalne gmazyszyszcze, ściśle przystosowane do nowatorskich koncepcji swego twórcy. Zamiar w pełni się powiódł i po dziś dzień do opery w Bayreuth ciągną jak do Mekki rzesze wielbicieli jego sztuki.



Wracając do sedna należy podkreślić, że wagnerowski Nibelung to utwór niezwykle, atrakcyjny również i dziś, gdy nowoczesne możliwości realizacji scenicznej potrafią nadać poszczególnym jego częściom stricte fantastyczną oprawę, wyczarowując na scenie świat zrodzony z mgieł, cieni i świateł laserów, z wykorzystaniem telebimów, tylnych projekcji czy systemu ruchomych poziomów sceny. A dla miłośników fantastyki może stwarzać ponadto okazję do konfrontacji tej „konkurencyjnej” opowieści o pierścieniu władzy z opowieścią wszystkim tu dobrze znaną. I choć poza samym głównym rekwizytem i motywem jego fatalnego wpływu na losy świata brak głębszych odniesień (wszak to zupełnie inna historia i inny ciężar gatunkowy), warto się jej przyjrzeć, poznać, a może przy odrobinie dobrej woli, jak i mnóstwie wolnego czasu – posłuchać.

Dzieło jest bowiem zamierzeniem niebotycznym i bez precedensu. Przytłacza nie tylko rozmiarami (każda z części cyklu trwa od 3 do 5 godzin), ale i nakładem włożonej pracy – kompozytor pracował nad nim ponad dwadzieścia lat, zanim wreszcie osiągnęło kształt ostateczny, układając się w dramaturgicznie zwartą całość następujących po sobie epizodów: „Złoto Renu”, „Walkiria”, „Zygfryd” i „Zmierzch bogów”. Zdumiewa również wykonanie, w myśl snutych przez siebie koncepcji i przemyśleń na temat dramatu muzycznego, które aby mogło spełnić pokładane w nim nadzieje i tworzyło spójną całość na wszystkich poziomach realizacji, powinno wyjść spod ręki jednego autora, zatem Wagner jest autorem wszystkich scenariuszy, librett i całej partytury swoich dzieł!

No i muzyka. W powszechnej opinii funkcjonuje krzywdzące skojarzenie: „Wagner? Nie, dziękuję – to taka straszna cegła”. No cóż, prawda, że partytura Nibelunga do lekkich nie należy. Muzyka mało zróżnicowana tak pod względem tempa jak i rytmu (choć nie pod względem tematów melodycznych), mroczna i przytłaczająca, nierzadko wręcz mistycznie wzniosła, stwarza atmosferę duszącego oparu unoszącego się nad głowami bohaterów. Przy tym mądrze podąża za tekstem, tworzy dramaturgię akcji i zagląda bohaterom w duszę. Wciągająca i szalenie nastrojowa, tworzy specyficzny klimat. Wiele się o niej mówi, co nieco można usłyszeć tam i tu, w tym najbardziej chyba kojarzony z Wagnerem temat „Cwał walkirii” z III aktu drugiej części cyklu (zacytowany m.in. przez Coppolę w „Czasie Apokalipsy”), ale poznać całość jest już znacznie trudniej. Bo też mało który teatr stać na podjęcie takiego wyzwania.

Przygodny słuchacz, który z marszu stanie wobec możliwości poznania którejkolwiek z części, daremnie będzie szukał śladów tradycyjnej opery. Tu wszystko jest inne: mroczna muzyka wolno płynie niby gęsty dym rytualnego ognia i z takim namaszczeniem, jakby to nie był spektakl muzyczny, a celebracja ponurego misterium. Bo tym Nibelung chyba ostatecznie jest, o czym będzie jeszcze okazja się przekonać, poznając zwłaszcza finałową

część dramatu. Tymczasem sam Wagner nazywał swoją muzykę przepływającą swobodnym strumieniem „melodią nieskończoną”, a także wyrazistą i silnie udramatyzowaną „melodią absolutną”. Wypełniając „przestrzeń” między partiami wokalnymi muzyka ilustruje akcję – to podpowiada, to buduje napięcie.

Fabula rozwija się powoli lecz płynnie w następujących po sobie obrazach, scenach i aktach; sytuacje dramatyczne, jak i relacje między poszczególnymi uczestnikami dramatu, wynikają z drobniawo przemyślanych i precyzyjnie skonstruowanych dialogów. Pomimo strictly baśniowego charakteru opowieści, uderza ich psychologiczna prawda, ba, potrafią nawet wzruszyć! Kompozytor unikał bowiem form zamkniętych, takich jak arie, duety czy recytatywy. Nie ma ich tutaj. Słowo płynie swobodnie jak w teatrze, wybrzmiewa i kształtuje fabułę w naturalnie brzmiących dialogach i monologach. Ubrane w muzykę podkreśla emocje i dodatkowo jeszcze „podkreśla” dramatyzm sytuacji.



No, ale dość gadania. Kurtyna w górę!

Jako się rzekło, najważniejszy był Wotan. Lecz nawet najmocniejszy i najważniejszy z bogów cóż wart jest bez dachu nad głową? Poznajemy go i całą boską rodzinę w chwili, gdy dwóch olbrzymów, Fasolt i Fafner, właśnie ukończyło budowę boskiego dworu – Walhalli. Jeszcze tylko zapłata budowniczym za trud i można się wprowadzać. Ale zaraz, zaraz, jak to? Chcesz dać im Freję w nagrodę za pracę? Freja jest piękna i młoda. Freja jest boginią życia! Bez niej ani świat, ani my, bogowie, nie będziemy żyć! Fryka, żona Wotana, każe zmienić warunki umowy, lecz olbrzymy ani myślą. Freja to wszak atrakcyjna cena, czyż nie? Wtedy Loge, bóg ognia, snuje opowieść o złocie i pierścieniu władzy. Na wieść o złocie błysnęły oczy olbrzymom, uprowadzają Freję, żądając okupu. Zdobędę dla nich złoto Renu – myśli Wotan – a pierścień chętnie sam posiadę. Będę panem świata!

Wotan i Loge ruszają w drogę, w dół przez straszną Dolinę Siarki do kraju lasów, jaskiń i skał, gdzie w łańcuchach jęczą Nibelungi kując złoto dla swego okrutnego pana. Zimna i ponura linia melodyczna wisi nad sceną, tworząc wizję posępnego świata, w którym groza pełni straż. Loge i Wotan suną powoli wciąż w dół i w dół, między skały, gdzie zaczyna się kraina mgieł, Nibelheim, kraj despotycznego Alberyka.

Zmuszony do kapitulacji karzeł oddaje zrabowane rzece złoto, pierścień i jeszcze coś... Posiadł bowiem jeszcze jeden przedmiot, wykuty z niegodnie pozyskanego kruszcza. To hełm, pozwalający noszącemu przybierać dowolną postać, a nawet znikać. Zapamiętajmy go, bo jego czas jeszcze nadejdzie. Niestety, cena za skarb jest wysoka: Alberyk powtórnie rzuca klątwę na złoto, na miłość, na świat, na bogów. Przeklęta niech będzie miłość! Omamieni złotym kruszczem macie tylko jego pragnąć. Niech umrze, kto pierścień posiędzie! Karzeł, pognębiony przez Wotana, znika w czeluściach Nibelheimu, a bogowie wracają do Walhalli.

Lecz olbrzymy nie dają się zwieść. Żądają także pierścienia. Wotan ze strachu przed klątwą oddaje go. Olbrzymy, jak psy o kość, walczą ze sobą o zdobycz. Fafner zabija Fasolta. Klątwa zaczyna zbierać krwawe żniwo.

Freja jest już wolna, a bogowie po tęczowym moście wchodzą do Walhalli. Fafner zakłada zdobyczny hełm i pod postacią smoka staje na straży skarbu, którego stał się panem. Klątwa Alberyka zawisa nad światem.

Kończy się „Złoto Renu” – lecz „Pierścień Nibelunga”, tak naprawdę, dopiero teraz zaczyna się na dobre...

Andrzej Habasiński

* Tomasz Mann „Doktor Faustus”, cytuję za wyd. internetowym.

WYPRAWA TRZECIA

5

SZLAKIEM KATARÓW

21 sierpnia BARCELONA, KATALONIA, HISZPANIA

Barcelona wita nas 35° skwarem. Podjeżdżamy pod bazylikę Sagrada Familia (w budowie od 1882 r.), robimy szybki desant z autobusu i wyruszamy niewielkimi grupkami w miasto.

Obchodzimy bazylikę dookoła. Wejść do środka można tylko po odczekaniu w kolejce ok. 3 godzin. Mając tylko 10 godzin czasu na całą Barcelonę – darujemy sobie zwiedzanie wnętrza.

Każda z grupek globtrotterów eksplorowała Barcelonę według własnego planu. Nasza (Ania, Ela i Jarek Sokółscy oraz ja) zdecydowała się ruszyć śladem dokonań genialnego architekta Gaudiego. Jako podstawowy środek lokomocji przyjęliśmy metro. Zmieniając linie, mogliśmy dojechać dość blisko do wszystkich założonych punktów.

Pierwszym naszym celem jest Park Güell. Dojeżdżamy metrem do odległej dzielnicy Barcelony i wchodzimy do parku bocznym wejściem, po pokonaniu kilkuset metrów stromą uliczką w górę (na szczęście środkiem uliczki wiodą ruchome schody!).

Zwiedzamy park – dosłownie z góry do dołu. Przysiadamy chwilę na słynnej porcelanowej ławce (ponoć najdłuższej w świecie). Podziwiamy dziwaczną architekturę Gaudiego, czując się momentami jak w krainie *fantasy*.



Wąskimi uliczkami schodzimy do najbliższej stacji metra. Po drodze regenerujemy siły w barze szybkiej obsługi.



Dwa przystanki metrem i już jesteśmy niedaleko od jednej z wcześniejszych budowli Gaudiego – Casa Vicens. Kolejne przejazdy i znajdujemy Casa Calvet, Casa Batlló, Palacio Güell oraz Casa Mila.



Od Casa Mila już blisko do najśłynniejszego deptaka Europy – Las Ramblas. Na długości kilku kilometrów, w cieniu platanów – setki straganów, muzycy, malarze, „żywe pomniki” etc, etc.



Powoli (bo Ania coraz bardziej kuleje) dochodzimy do końca deptaka. Po drodze robimy jeszcze skoki w bok, aby podziwiać świątynie i wszechobecną katalońską secesję (mam na myśli oczywiście styl architektoniczny, a nie aktualny stan polityczny w Katalonii). Jemy obiad w maleńkiej restauracyjce na bocznej uliczce.

Docieramy wreszcie do portu. Ania ma już dosyć chodzenia, więc wsadzamy ją do autobusu wycieczkowego (niech sobie jeszcze pozwiedza Barcelonę), a sami włączymy się po porcie, zwiedzając w końcu rewelacyjne barcelońskie Aquarium. Nawiasem mówiąc, bezczelnie wykorzystałem zniżkę dla osób po sześćdziesiątce, które płacą połowę – tak, jak małe dzieci.

DYGRESJA 8

Antoni Gaudí (1852-1926), kataloński architekt i inżynier secesyjny słynący z wyjątkowych projektów.

Urodził się w Reus koło Tarragony (Katalonia). Pochodził z wielodzietnej rodziny kotlarskiej. W dzieciństwie chorowity, dolegliwości reumatyczne nie pozwalały mu na uliczne zabawy z rówieśnikami. Często zostawał w domu. Przypuszcza się, że w tym okresie wyrobił sobie niespotykaną wyobraźnię, co pozwoliło mu potem stwarzać przełomowe projekty w architekturze. Już w dzieciństwie Gaudí stał się samotnikiem.

W 1876 roku wraz z rodziną przeniósł się do Barcelony i rozpoczął studia w Escola Tècnica Superior de Arquitectura. Problemy finansowe ojca zmusiły Gaudiego do równoczesnego podjęcia pracy. Zarabiał jako asystent barcelońskich architektów.

Wydaje się, że Gaudí nie był szczególnie dobrym studentem, choć np. za projekt portalu cmentarza otrzymał ocenę celującą. Aby wytworzyć odpowiednią atmosferę projektu zaczął od narysowania karawanu pogrzebowego, a ten wypadł bezsprzecznie staranniej niż sama budowla. Rektor uczelni nie wątpił, że egzamin pozwolono zdać geniuszowi albo szaleńcowi. Ukończył uniwersytet i otrzymał dyplom w 1878 roku, ale szybko oddalił się od utartych ścieżek stylu architektonicznego owych czasów. Na początku pracy w zawodzie Gaudí brał każde zlecenie. Projektował kioski, bramy wjazdowe, płoty, mury.

Przełomowym zdarzeniem w życiu Gaudiego okazało się spotkanie z barcelońskim przemysłowcem, Eusebim Güellem, który docenił sztukę Gaudiego i finansował wykonanie wielu projektów aż do 1918 roku. W 1883 roku Gaudí przejął zlecenie budowy bazyliki Sagrada Família. Miał tylko skończyć gotowy projekt Francisco Villara, ale dopiero po 1914 roku poświęcił się zupełnie bazylice. Zamieszkał nawet na terenie budowli.

Za manifest Gaudiego należy uznać Casa Vicens w Barcelonie (1883-1888), dom bogatego przedsiębiorcy Manuela Vicensa. Gaudí stworzył coś własnego, rozpoczął od dołu w stylu hiszpańskim, a im wyżej tym bardziej zbliżał się do arabskiego, a może nawet perskiego. Styl Gaudiego był bardzo rzeźbiarski oraz secesyjny. Wykorzystywał paraboliczne łuki, fantastyczne formy i zawiłe desenie oraz organiczne kształty podpatrywane w przyrodzie. Nawiązywał niekiedy do płynności podwodnego świata. Dziś jest uważany za prekursora architektury biomorficznej. Z narastaniem doświadczenia Gaudí zaczął mocniej eksperymentować w projektach. Testował wytrzymałość różnych materiałów (bazalt, granit). Sprawdział różne oświetlenia. Odwoływał się do geometrii innej niż Euklidesa. Gaudí łączył w sobie umiejętności i malarza, i rzeźbiarza, i architekta. Opowiadał się za architekturą jako syntezą sztuk. Najdojrzalsze dzieła to Sagrada Família, Colonia Güell oraz Casa Mila z najsłynniejszymi, niepowtarzalnymi kominami i otworami wentylacyjnymi.

Gaudí był w Hiszpanii zjawiskiem fascynującym i niezwykłym. Jako młody człowiek przywiązywał dużą wagę do wyglądu, stroju. Był zadbany i dobrze ubrany. Jakże inny był jako starzec – mawiał: moje miejsce jest wśród ubogich. W głębi duszy zawsze pozostał wierny swoim korzeniom – ludowi Katalonii. Duszą i ciałem czuł się Katalończykiem. Przez całe swoje życie demonstracyjnie mówił tylko po katalońsku. Najgenialniejszy z architektów, najbardziej kataloński z Katalończyków – 74-letni Gaudí został potrącony przez tramwaj. Stracił przytomność i upadł. Nikt nie rozpoznał architekta. Taksówkarze odmówili odwiezienia biednie odzianego mężczyzny do szpitala. W końcu litościwi przechodnie zajęli się ciężko rannym. Niestety za późno. Pochowany został w bazylice Sagrada Família. W miejscu, nad którym pracował przez 43 lata swego życia, a 12 ostatnich poświęcił tylko i wyłącznie jemu.

Od roku 1992 trwa proces beatyfikacyjny Gaudiego. Zebrano wiele świadectw pobożności architekta. Wyrok jednak – jak w przypadku tego typów wyroków bywa – poprzedzony być musi długą i staranną analizą materiału. Niezależnie od tego już istnieje spory ruch pielgrzymkowy do grobu Gaudiego.

Rok 2002 – w 150 lat po urodzeniu artysty – został ogłoszony przez władze Barcelony międzynarodowym rokiem Gaudiego. W związku z tym powstało wiele opracowań i przewodników dla lepszego poznania architekta.

Wśród wielu nie zrealizowanych prac Gaudí pozostawił projekt drapacza chmur – hotelu Attraction w Nowym Jorku. Projekt ten podobno zainspirował, wykonany przez Libeskinda, projekt rekonstrukcji World Trade Center po katastrofie z 11 września 2001 r.





Wieczorem spotykamy się z całą grupą w umówionym miejscu – pod pomnikiem Kolumba. Dla dwóch naszych przyjaciół pobyt w Barcelonie ograniczył się do komisariatu policji i konsulatu polskiego. Zostali w metrze okradzeni z pieniędzy i dokumentów.

Przyjeżdża nasz autobus i ruszamy w powrotną podróż do Carcassone.

22 sierpnia LANGWEDOCJA, FRANCJA

W zasadzie miał to być dzień pełnego relaksu na plaży, przed ciężkim przelotem do Polski. Nastąpił jednak podział na trzy podgrupy: kilka osób wolało relaksować się w okolicy baru hotelowego, kilkanaście czuło niedosyt Carcassone i ruszyło do Medieval City. Ostatnia, największa podgrupa, wybrała wyjazd nad Morze Śródziemne.

Po godzinnej jeździe docieramy do miasteczka Leucate. Ogromna piaszczysta plaża jest prawie pusta i do naszej dyspozycji. Nieco więcej osób jest dalej – tam gdzie miasteczko dochodzi do brzegu.



Wyszaleliśmy się w wodzie (jest bardziej słona niż w Bałtyku), pochodziliśmy po plaży (wiele kobiet w topless, niestety wszystkie po pięćdziesiątce – albo jeszcze gorzej) i po miasteczku. Po południu wrociliśmy do hotelu.

Po obiedzie Wojtek zwołuje chętnych do zwiedzenia zamków w Lastours, których kilka dni temu nie zdążyliśmy „zaliczyć”.

Lastours znajduje się 20 km od Carcassone. Na grzbiecie górskim leżą cztery nieduże zamki, odległe jeden od drugiego o kilkaset metrów (lotem ptaka). Ponieważ zamki dzielą głębokie, skaliste parowy, więc pieszo robią się kilometry.

Wraz z Czempionem postanowiliśmy pokazać młodzieży, jak w „starym piecu diabeł pali” (to o mnie) i byliśmy pierwsi! 4 zamki w 40 minut! Prawdę mówiąc oszukiwaliśmy, bo skracaliśmy sobie drogę przez parowy, skacząc po skałach jak kozice.





23 sierpnia LANGWEDOCJA, FRANCJA – BADENIA-WIRTEMBERGIA, NIEMCY

Start o 4 rano! Z każdym kilometrem na północ jest zimniej. Mieliśmy przejechać przez Francję do granicy niemieckiej, ale wystąpiła drobna omyłka kierowcy (Wojtek przysnął i nie zareagował) i przypadkiem wjechaliśmy do Szwajcarii. Właściwie to wina GPS, który uparcie twierdził, że tamtędy jest najbliższa droga. Miał, rzecz jasna rację, ale głupek nie uwzględnił, iż dwa paszporty zostały w Barcelonie.

Na wjeździe jakoś nie było kontroli granicznej, więc pojechaliśmy dalej. Po drodze obejrzelśmy sobie Jezioro Bodeńskie. Z niejakim stresem podjeżdżamy do granicy z Niemcami. Robi się gorąco, bo wachman żąda paszportów. Wojtek daje mu ich cały sztapel. Ten udaje, że je przegląda, po chwili oddaje i każe jechać.

Nocujemy w Badenii-Wirtembergii, w niewielkim uzdrowisku Bad Buchau. W pensjonacie pokoje przestronne, łazienki obszerne, kolacja normalna, a piwo wyśmienite. W kilka osób idziemy jeszcze na spacer po miasteczku.

W restauracji pensjonatu robimy ostatnie spotkanie i nocną rodaków rozmowę. Jakoś smutno, że jutro się rozstaniemy, że trzeba znów czekać rok na kolejną wyprawę i spotkanie z potworem z Loch Ness.



24 sierpnia BADENIA-WIRTEMBERGIA, NIEMCY – GDAŃSK, POLSKA

Znowu start o 4 rano. W Ulm wjeżdżamy na autostradę i po południu przekraczamy granicę Polski. A tu swojsko: brak autostrad, objazdy, remonty, korki. Kolejno wysiadają nasi przyjaciele-globtrotterzy (przed Łodzią przypominam jeszcze Sapkowi, że obiecał być na Nordconie [I BYŁ!!]). W Olsztynie jesteście około 1 w nocy. W ogródku Wojtka czeka moja wierna Fabia!

Żegnamy się z olsztyńskimi i wyruszamy z Anią do domu. Szosa Olsztyn – Ostróda nie jest nocą zbyt sympatyczna – kręta i w ciągłym remoncie.

Docieramy do domu o 6 rano. Nasze pieski witają nas z rezerwą, jakby nie wierzyły własnym oczom i nosom!

I tak, dla nas, kończy się Wyprawa Trzecia „Śladem Katarów”.



EWOLUCJA POSTANOWIEŃ NOWOROCZNYCH

- 2006: Będę lepszym mężem dla mojej Kasi
 2007: Nie rozwiędę się z moją Kasią
 2008: Postaram się odzyskać moją Kasię
 2009: Będę lepszym mężem dla Zosi
- 2006: Nie pozwolę by, by szef rozstawił mnie po kątach
 2007: Nie pozwolę, by szef doprowadzał mnie do myśli samobójczych
 2008: Nie dam szefowi sztydzić ze mnie przy współpracownikach
 2009: Opowiem o szefie mojemu psychoanalitykowi
- 2006: Przeczytam dwadzieścia wartościowych książek
 2007: Przeczytam dziesięć książek
 2008: Spróbuję przeczytać pięć książek
 2009: Dokończę krzyżówkę
- 2006: Postaram się schudnąć do 80 kilo
 2007: Postaram się schudnąć do 90 kilo
 2008: Postaram się schudnąć do setki
 2009: Wypracuję dalekosiężną strategię odnośnie kwestii mej wagi
- 2006: Nie będę pił przed 17:00
 2007: Nie tknę butelki przed południem
 2008: Nie zostanę alkoholikiem
 2009: Przeszanę się spóźniać na spotkania AA
- 2006: Przeszanę wydawać pieniądze bez opamiętania
 2007: Spłacę pożyczkę do końca roku
 2008: Spłacę pożyczki jak najszybciej
 2009: Wykupię z lombardu pamiątki rodzinne

[z Internetu]



...można jednak i tak:

- 2006: zapiszę się do GKF-u
 2007: będę opłacał regularnie składki
 2008: zapłacę wszystkie składki ryczałtem
 2009: zapłacę składkę roczną oraz przekażę Klubowi 1% podatku

GDĄSKI KLUB FANTASTYKI

ADRES GKF : Gdańsk-Przymorze, ul. Opolska 2

ADRES KORESPONDENCYJNY: skr. poczt. 76, 80-325 Gdańsk 37

STRONA: www.gkf.art.pl

REDAKCJA: Jan Plata-Przechlewski (red. nacz.), Krzysztof Papierkowski, Marcin Szklarski,
 Michał Szklarski

GRAFIKA: Piotr Terszel (5) [okładka i pozostałe grafiki – NN]

KONTO BANKOWE GKF: PKO BP I O/GDYNIA nr 52 1020 1853 0000 9902 0067 8359

Nakład 300

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

INFORMATOR
236

Texty drukowane w „Informatorze” odzwierciedlają przekonania Autorów i nie zawsze pokrywają się z poglądami redakcji